



Krystyna Janda

**JEDNO
JEST PEWNE,
ZOSTANĄ
PO MNIE
PRAWIE TYLKO
ZŁE RECENZJE.
NO TRUDNO**

JESTEM ZAWODOWCEM

■ Rozmawiamy kilka dni po polskiej premierze „Lekcji stepowania” Richarda Harrisa, którą pani wyreżyserowała w Teatrze Powszechnym w Łodzi. Dlaczego wybrała pani tę sztukę – opowieść o zahukanych, zaniedbanych kobietach, niedających sobie rady w życiu?

– Trzy lata temu pani dyrektor Teatru Powszechnego w Łodzi, gdzie często pokazywałam moje warszawskie role, powiedziała mi, że ma w zespole wiele aktorek, które bardzo by chciały spotkać się ze mną w pracy. Zależało jej na pozycji teatralnej, w której jest wiele ról dla kobiet, na repertuarze wymagającym porządnego, realistycznego aktorstwa, czyli „powrót do źródeł i rzemiosła”. Trafiliśmy na sztukę Harrisa, która bardzo mi się spodobała, bo jest to dobrze napisana historia, opowieść o szlachetnych zwykłych lu-

dziach, mających problemy bliskie szerokiej publiczności, a wspólne lekcje stepu stają się dla bohaterów – a tym samym dla publiczności – terapią grupową. Stepowanie ma w sobie coś z agresji, aby wejść w odpowiedni rytm, trzeba się przełamać wewnętrznie, uwierzyć w siebie. Ten taniec ma w sobie jednocześnie coś z niezależności i podporządkowania, dumy i umiejętności współpracy grupowej, to wydało mi się ładne. Ale przede wszystkim jest to polifoniczna opowieść o dziesięciorgu ciekawych ludziach, o ich indywidualnych decyzjach i losach, a w rezultacie bohaterem całości jest grupa. No a temat, nieumiejętność dostosowania się do życia – bardzo aktualny.

■ Wielokrotnie grała pani role kobiet przegranych, sfrustrowanych, nieszczęśliwych, np.

w „Kochankach mojej mamy”, „Matce swojej matki”, „Kobiecie zawiedzionej”, „Shirley Valentine”, „Lekcji śpiewu” i „Białej bluzce”. Czy panią takie kobiety ciekawią?

– Ciekawią mnie, bo każda z nich jest ciekawą postacią! To osobowości skomplikowane wewnętrznie. Często tragiczne i przegrane. Człowiek stale szczęśliwy, wieczny zwycięzca jest mało interesujący jako temat opowieści, w teatrze może być najwyżej tłem, przeciwwagą. O szczęściu opowiada się krótko.

■ Mogłoby się zdawać, że nic pani nie łączy z tymi przegranymi bohaterkami. Znajduje się pani w odmierzonej sytuacji – kobiety, która odniosła sukces w zawodzie, jest zakochana w swojej rodzinie, optymistycznie patrzy na świat.



1996 r. „Opowiadania weekendowe: Niepisane prawa” w reżyserii Krzysztofa Zanussiego. Nz. Janda z Piotrem Szwedeselem.

„Wróżby kumaka” w reżyserii Roberta Glińskiego.



Wrzesień 2004 r. Premiera serialu „Glina”. Krystyna Janda z córką Marią Seweryn.

NIE CZYTAM ŻADNYCH RECENZJI, PONIEWAŻ ZA BARDZO MNIĘ DOTYKAŁY NIEMERYTORYCZNE ZŁOŚLIWOŚCI.

♦ – Ale mój zawód nie ma nic wspólnego z życiem. Opiera się na wyobraźni, wrażliwości, umiejętności wyobrażenia stanów, sytuacji, psychiki. Na znajomości natury człowieka, umiejętności odgadnięcia motywów postępowania i nadaniu temu formy. Prawdziwe doświadczenia życiowe nie mają tu nic do rzeczy. To zawód polegający na konstruowaniu i wyborach środków wyrazu także. Myślę, że jestem niezłym rzemieślnikiem – i jestem z tego dumna.

■ Zawsze pani traktowała swój zawód jako rzemiosło? Nigdy jako misję, posłannictwo?

– Elementy społeczne i wartościowanie wszelkiego rodzaju tego, do czego się zabieram zawodowo, zawsze miały dla mnie znaczenie i chyba udowodniłam to całym moim życiem teatralnym i filmowym. Pani używa dużych słów, a ja robię to w życiu poza scenicznym i ekranowym niechętnie. Dla mnie ten zawód jest radością, przyjemnością, ale oczywiście nie jest mi obojętne, o czym opowiadam i jaki to ma wydźwięk. Ani programowa dydaktyka, ani fałszywie pojęta misja mnie nie interesują, ani zmiana i „poprawianie świata” jako główny cel, artystyczny także, czyli też w związku z tym założona z góry awangarda teatralna. Interesuje mnie ważna, ciekawie opowiedziana historia.

■ Od dłuższego czasu opowiada pani – w teatrze, na ekranie i w swoich felietonach – o kobietach. Feministki chętnie się do pani przyznają, a pani do nich?

– Mam mieszane uczucia, to pojęcie jest bardzo zagmatwane w polskiej kulturze. Po prostu: jestem kobietą i wydaje mi się, że w związku z tym rozumiem kobiety. Bardzo lubię kobiety i lubię być kobietą. W związku z tym denerwuje mnie, że o kobietach nikt nie opowiada ani w teatrze, ani w filmie. Jeśli się pojawiają, to jako osoby towarzyszące, deprecjonowane i często obrażane tymi opowieściami. Są oczywiście rzeczy interesujące jak choćby ostatnio „Zurek” czy „Łucja i jej dzieci”. Ale w polskiej kinematografii od wielu lat nie było opowieści o współczesnych kobietach – inteligentkach. Nie pamiętam nawet małej roli w polskich filmach, która byłaby reprezentatywna dla współczesnej kobiety mieszkającej, myślącej i „działającej” w Polsce.

■ Obraz współczesnej Polki jest nieciekawym jako temat opowieści?

– Jest trudny, skomplikowany. Nie wiem reszta...

■ Jednak postaci męskich mamy w kinie pod dostatkiem.

– Dlatego że filmy robią mężczyźni. Również mężczyźni piszą scenariusze, często głęboko osobiste, często też opisują projekcje swoich

marzeń o mężczyźnie. Gdyby znalazła się kobieta, która by napisała scenariusz głęboko osobisty, wszyscy bylibyśmy zachwyceni. Ale nie pojawiła się jak dotąd.

■ **Może scenarzyści i reżyserzy sądzą, że świat kobiet kręci się wokół mężczyzn?**

– Być może. Przede wszystkim zamawiający te filmy i dający na nie pieniądze także. Czyli decydujący *de facto*, jakie tematy należy opowiadać.

■ **Modelowym przykładem opowieści o kobietach dla mężczyzn jest pani monodram „Shirley Valentine”, jeden z największych hitów III RP. Kobiety masowo przyprowadzały swoich mężczyzn na ten spektakl, w celach poznawczych.**

– Sukces tego tekstu polegał na tym, że z opowiadaną historią zidentyfikowało się wielu ludzi. Ponadto na końcu ta opowieść dawała nadzieję, że można w każdym momencie życia wszystko zacząć od początku.

KRYSTYNA JANDA, aktorka, w teatrze debiutowała rolą Anieli w „Ślubach pańskich” (1976), w filmie rolą Agnieszki w „Człowieku z marmuru” (1976). Zagrała około stu ról teatralnych (m.in. w „Medei”, „Pannie Julii”, „Białej bluzce”, „Shirley Valentine”) i filmowych (w takich filmach jak „Człowiek z żelaza”, „Dyrygent”, „Mefisto”, „Modrzejewska”, „Matka swojej matki”), zajmuje się także reżyserią teatralną (m.in. „Na szkle malowane”,

■ **W takim razie sukcesem powinien się okazać serial telewizyjny „Męskie-żeńskie”, którego jest pani autorką. To opowieść o dwóch samotnych kobietach, matce i córce (w tych rolach Krystyna Janda i Maria Seweryn), z którymi także identyfikowało się wiele osób. Moje koleżanki komentowały, że pani mówi tekstem ich matek, a ich matki, że na ekranie rozpoznają swoje córki. Niestety, serial nie odniósł sukcesu, tylko gdzieś przepadł.**

– Nie odniósł sukcesu u decydentów w telewizji. Choć intencje były jasne – zabawne, zamknięte opowieści, matka i córka, próba oceny różnych problemów społecz-

nych i obyczajowych z punktu widzenia dwóch pokoleń. Telewizja wyemitowała sześć odcinków i przerwała produkcję. Pani Terentiew uznała, że serial jest niszowy; a może jej się nie podobał. Oglądalność miała niezłą. Większą niż przewidywana. Ale nie chce mi się nawet o tym mówić. To było moje ukochane dziecko.

■ **To pani nie ma siły przebicia? Z badań wynika, że Polacy oglądają filmy głównie ze względu na aktorów – a przecież pani jest w czołówce.**

– Jeśli ktoś mi mówi, że nie dostanę pieniędzy na realizację, to co mam zrobić? Przykuć się łańcuchem do bramy w telewizji? Jaką ja mam siłę przebicia? Gdzie? Z moim nazwiskiem często trudniej coś zrobić niż z jakimkolwiek innym. Ponieważ mam dużo za sobą, wielu ludzi uważa, że czas na kogoś innego.

■ **Aktorki często się skarżą, że dla kobiet**

„Panna Tutli Putli”) i filmową (m.in. „Pestka”, „Męskie-żeńskie”). Laureatka kilkudziesięciu nagród (m.in. Złotej Palmy na Festiwalu w Cannes, Złoty Lwów Gdańskich, Specjalnej Złotej Kaczki dla najlepszej aktorki w historii polskiego kina, Wiktora, Telekamery, Busoli „Przeglądu”). Jako pierwsza w Polsce „artystka multimedialna” założyła własną stronę internetową (www.krystynajanda.com.pl), odwiedzaną przez tysiące jej fanów.

w średnim wieku nie ma ciekawych ról. Odczuła to pani na sobie?

– Nie odczułam, bo sama sobie dostarczam propozycje, głównie teatralne. Natomiast dla kina... Skończyliśmy „Wróżby kumaka” według Güntera Grassa (wkład finansowy telewizji), z Robertem Glińskim, premiery – i niemiecka, i polska – odbędą się jesienią, a teraz zaczynam film, na który wraz z reżyserem Andrzejem Barańskim czekaliśmy siedem lat. Tyle czasu odmawiano mu niewielkich pieniędzy na film o Mironie Białoszewskim i jego przyjaciółce Jadwidze Stańczakowej, ja tak piękny pomysł i scenariusza nie czytałam od lat.

Przejmująca, mądra opowieść o niezwyklej parze: niewidoma i poeta...

Najpierw miał to być film kinowy, a w rezultacie będzie to mały film telewizyjny, włożony w cykl „Święta polskie”. Takie są nasze realia.

■ **Pani wizerunek zmienił się na przestrzeni lat. Dba pani o niego, obchodzi panią?**

2003 r. Plan zdjęciowy serialu „Męskie-żeńskie”, współreżyserowanego przez Jandę.

– Albo się jest gwiazdą i nie przyjmuje się ról, które deformują stworzony *image*, albo się jest zawodowcem, który gra ciekawe role. Ja jestem zawodowcem. Skończył się okres, kiedy byłam identyfikowana z Agnieszką z „Człowieka z marmuru” czy z bohaterką z „Przesłuchania”. Andrzej Wajda długo nie chciał, żebym przyjmowała role, które by zniszczyły stworzony przez niego wizerunek. Ja lojalnie ich nie przyjmowałam, uważałam, że jestem mu to winna. Odrzuciłam choćby dwie duże role w filmach muzycznych, ponieważ on nie chciał, żebym schodziła ze schodów w kabaretkach z piórami w pupie.

■ Kiedy w końcu zdecydowała się pani przyjąć rolę niezgodną z wcześniejszym wizerunkiem, była to alkoholiczka, dość lekkich obyczajów, w filmie „Kochankowie mojej mamy”.

– Tak, ale i wtedy Andrzej się zastanawiał, czy powinnam przyjąć tę rolę, czy mu nie zniszczę Agnieszki. W końcu powiedział: „Nie, już może czas” i pozwolił mi to zagrać.

■ Czyta pani recenzje? Przejmuje się krytyką?

– Od pewnego czasu nie czytam żadnych recenzji, ponieważ za bardzo mnie dotykały niemerytoryczne złośliwości. Nigdy nie zapomnę, jak po „Shirley” w recenzjach padały takie zdania jak „zapach podpaski krąży w powietrzu”, po Callas uwagi o moim megalomańskim aktorstwie, po „Kobiecie zwiedzionej” o sposobach na wrzucanie publiczności i złym guście itp. Po „Małej Steinberg”, że gram tak prawdziwie, że lepiej może, żeby to naprawdę autysta zagrał... Po lubianym przez widzów i wciąż powtarzanym w Teatrze Telewizji „Związku otwartym” czy choćby po „Porozmawiajmy o życiu i śmierci” – o moim temperamentie i manierze mówienia. Generalnie bardzo się różni w ocenach z krytykami, mamy jakby odmienny system wartości. To, co ja uważam za wartość i walor, oni wyśmiewają – i na odwrót. Zresztą wydaje mi się, że to recenzenci mają ze mną problem, a nie ja z nimi. Jedno jest pewne, zostaną po mnie prawie tylko złe recenzje. No trudno.

■ Od 12 lat zajmuje się pani także reżyserowaniem. Dlaczego? Stojąc po drugiej stronie rampy lub kamery, dowiedziała się pani czegoś nowego o aktorstwie?

– Moje reżyserowanie wynika z personalnych problemów na rynku. I z tego, że chcę sama coś powiedzieć od siebie. Przez tyle lat dzieliłam się wizją swojej roli z reżyserem, że w pewnym momencie zapragnęłam coś opowiedzieć w całości. Często bywałam w sytuacji, że stałam z pomysłem na rolę na środku skrzyżowania środowiska, bez reżysera. Tak było z „Pestką”. Zrobiłam ten film nie dlatego, że chciałam, tylko dlatego, że kolejni reży-

CZĘSTO MUSIAŁAM PROSIĆ LUDZI, KTÓRYCH NIE SZANUJĘ, Z KTÓRYCH GUSTEM SIĘ NIE ZGADZAM. CHCĘ BYĆ NIEZALEŻNA NAWET NA WŁASNY RACHUNEK.



2002. Krystyna Janda z wnuczką Leną

serzy mi odmawiali, aż w końcu producent zaproponował, żebym sama wyreżyserowała ten film. Teraz pewnie znowu będę reżyserować, ze względów oszczędnościowych – w teatrze, który niebawem otworzę w dawnym kinie Polonia – ja będę za darmo i jako aktorka, i reżyser, i adaptatorka...

■ Prywatny teatr to ryzykowna inwestycja w polskich realiach. Dlaczego pani postanowiła go otworzyć, bo przecież nie ze względów komercyjnych?

– Ponieważ mam dosyć sytuacji wiecznego błagania, że coś chcę zrobić, że mam pomysł. Często musiałam prosić ludzi, których nie szanuję, z których gustem się nie

zgadzam. Chcę być niezależna nawet na własny rachunek. Wydałam wszystkie oszczędności na zakup tej nieruchomości, a ciągle ktoś ma do mnie pretensje albo uśmiecha się z politowaniem na to, że ładuję prywatne pieniądze w nową instytucję kultury.

■ Ma pani treść przed debiutem w nowej roli – kobiety biznesu?

– Jakiego biznesu? Żaden poważny biznesmen nie wydałby wszystkich pieniędzy na interes, który na pewno nie będzie dochodowy. Nie jestem biznesmenem, jestem kretynką. Przebudowa dawnego kina na teatr, wyposażenie teatru to koszt około 2 mln zł!

■ Jaki to będzie teatr? Repertuarowy?

– Broń Boże, nie utrzymałby się. Będziemy produkować spektakle i tak długo je grać, jak długo ludzie będą kupować bilety. Kontrakty będą podpisywane tylko na okres współpracy, tak jak się robi w teatrach na świecie. A pieniędzmi będziemy się dzielić, jeżeli coś zarobimy.

■ Uważa pani, że kultura musi na siebie zarabiać?

– Absolutnie nie. Sztuka, nauka, kultura muszą kosztować, to jest obowiązek każdej władzy wobec każdego społeczeństwa i narodu. Tutaj pozwólmy sobie na wielkie słowa. Ale nie może być tak, że są tylko teatry państwowe, utrzymujące stałe zespoły. To jest przestarzała, chora struktura. Młodzi aktorzy, którzy chcą sami coś zrobić, muszą błagać o wypożyczenie sali, za olbrzymie pieniądze. Sama byłam w podobnej sytuacji: wynajmowałam teatry, kiedy robiłam własne produkcje. Organizacja teatrów w Polsce jest przed dużą reformą, która staje się powoli koniecznością. Na ten temat jest wiele lęków i konfliktów w środowisku, w które zresztą się nie wtrącam.

■ Nie czuje się pani częścią tego środowiska?

– Od jakiegoś czasu jestem z боку, poza tym nigdy nie miałam temperamentu działacza. Dlatego musiałam znaleźć własne miejsce, własny teatr. Jestem w sytuacji wymuszonej, robię to poniekąd z konieczności – jeżeli nie zrobię sobie miejsca do grania, to nie będę grała.

■ Ma pani jakiś pomysł rezerwowy, gdyby prywatny teatr nie okazał się sukcesem?

– Tak, otworzę peep-show (śmiech). Więc trzymajcie za mnie kciuki, żebym nie musiała otworzyć czegoś wstydliwego, bo źle będzie się kończyła notatka o mnie w encyklopedii (śmiech). Teraz kończy się na tym, że oprócz innej działalności zawodowej także piszę („Encyklopedia PWN”). Jedno wam powiem, po tym, co zrobiłam, pieniądze, jak się „niespodziewanie” okazało, w moim życiu nie są najważniejsze.

Rozmawiała Ewa Likowska